

# Brückner, Aleksander

---

## Próbki najnowszej krytyki historycznej

---

Przegląd Historyczny 3/2, 147-161

---

1906

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

## PRÓBKI NAJNOWSZEJ KRYTYKI HISTORYCZNEJ.

---

Misya Morawska skończyła się tak, jak chazarska, t. j. na niczem, ale tylko na razie. Po drodze dopiero uśmiechnęło się Konstantemu szczęście. Kocel z nad Błot, wolny od wszelkich trosk politycznych, zabawił się bowiem w liturgię słowiańską. Mówią o jakimś „państwie“ Kocela, o pragnieniu niezależności duchowej dla swęgo „państwa“, nawet o marzeniach o niepodległości politycznej. Ależ Priwina i syn jego Kocel, to nie Rościsław nawet; to przybłądy z obczyzny, którym—za wstawieniem się panów niemieckich—z niemieckiej marchii wyznaczono część; Kocel to nie hołdownik, lecz prosty sługa niemiecki; wystarczyła też groźba: „złe będzie z tobą, jeśli Metodego u siebie zatrzymasz“, aby, bez najmniejszego oporu, pozbył się raz na zawsze mżonek „panońskich“. Lecz i na Kalniku (bo tak może zwało się „Mosaburg“ Kocelowe po słowiańsku), przekonał się Konstanty, mimo wszelkiej „uciechy“ Kocelowej z powodu ksiąg słowiańskich (soluńskie narzecze było dla Słowiańców nieco bliższe niż dla Morawian), że bez aprobaty papieskiej niczego nie wskóra, że bez błogosławieństwa rzymskiego się nie obejdzie. Więc na Wenecyę do progów apostołskich podążył.

Legendy, unikające, jak wspomnieliśmy, i cienia inicjatywy Konstantego, obarcza jeszcze druga walna troska: usunięcia cienia kacerstwa, a choćby i nowatorstwa z dzieła braci soluńskich. Dlatego sprowadzają one rolę przeciwników tego dzieła do *minimum*. Np. legenda Metodego ani słówkiem, umyślnie, nie wspomina o tem, że spory Metodego z niemieckimi biskupami, a póź-

niej z własnym sufraganem, Wichingiem, toczyły się głównie o liturgię słowiańską. Biskupi spierają się z nim, niby tylko o jego włamanie się do obcej dyecezyi, a katolik, Wiching, to tylko „hiopatorski heretyk“. Wiemy jednak z „*Conversio Carantanorum*“ i z listów papieskich, że właśnie o liturgię słowiańską stale walczone.

Na równi z tem stoi i inne dążenie legend: zmniejszenie całego znaczenia duchowieństwa katolickiego na Morawach i w Panonii. Przecież już z tym duchowieństwem spierał się Konstanty o liturgię słowiańską; tymczasem „*Żywot*“ odkłada sam spór i argumenty dopiero do—Wenecyi, ażeby zmniejszyć rolę duchowieństwa rzymskiego na ziemi morawskiej; i tu dopiero, w Wenecyi, gdzie się nb. nikt tą sprawą nie zajmował, wyładował Konstanty wszystkie argumenty, broniące liturgii słowiańskiej. Wierzę w te argumenty, nie wierzę jednak, jakoby je dopiero w Wenecyi przytaczał, czy formował. Legendy, jak zawsze, zawierają tylko cząstkę prawdy, milczą o Morawach i o Panonii, a wysuwają mit wenecki.

Tak samo ma się rzecz z listem Hadryana II, aprobującym uroczyste liturgię słowiańską i wyłączającym z Kościoła tych, co by ją ganić śmieli. List ten, to autentyk i falsyfikat zarazem; autentyk, bo oparty na autentycznym liście Jana VIII; falsyfikat,—bo podsuwający list innemu papieżowi i zmyślający szczegóły różne. Na tem miejscu bowiem, gdzie mowa o liście Jana VIII, nie podaje brzmienia jego żywot Metodowy; zadowolnia się kilku ogólnikowymi frazesami ponieważ przytoczył go już wyżej, podsuwając go Hadryanowi II. Gdyby jednak już Hadryan II wydał był list podobnej treści, powołałby się nań niechybnie Metody wobec Pawła Ankońskiego, przynoszącego mu wr. 873 od papieża uwolnienie z więzienia „szwabskiego“ i—stanowczy zakaz liturgii słowiańskiej! Hadryan, ordynując Metodego na arcybiskupstwo panońskie, pobłogosławił przekładowi Pisma św. na język słowiański, niezbędne mu dla skutecznej misyi u Słowian-pogan; któryż papież nie pobłogosławiłby takiego przekładu, nowego a trudnego!? Dla nich może i na jakieś dalsze ustępstwo się zgodził, ale o wprowadzeniu liturgii słowiańskiej do Słowian-katolików pewnie nie myślał; nie mieliż jej ani Celtowie ani Germanowie. Tu Metody rządził się według swego widzimisię. Podobnie postąpił przecie na Morawach, t. j. nie troszczył się bynajmniej o wyraźny zakaz papieski. Do „Panonii“ tylko nie miał w 873 r. po co wracać; nie dozwolił mu na to episkopat niemiecki, wbrew Janowi VIII. Metodemu po-

została droga tylko do Świętopełka. Dopiero w r. 879, za ponownym pobycem w Rzymie — (żywot jego umyślnie o tym pobycie milczy, boć niebyłoby ładnie, gdyby prawdę napisał, t. j. że oskarżonego o herezyę arcybiskupa papież przed sąd powołał)—udało się Metodemu uzyskać pozwolenie na mszę słowiańską i możemy się domyślać, jakichto argumentów w tym celu wobec papieża używał. Ale papież, co jedną ręką dawał, drugą odbierał, bo nietylko zastrzegł sobie czytanie lekcij przy każdej mszy najpierw po łacinie, ale nakazał, aby całą mszę tylko po łacinie odprawiano, skoroby Świętopełk i dostojnicy morawscy tego sobie życzyli. O tem ważnem zastrzeżeniu przemilczał z uwagą rozmyślną falsyfikat Metodyusza, ów list niby Hadryana, istotnie Jana VIII. Tu dodam, dla uspokojenia drażliwości czytelników, że posługiwanie się falsyfikatami w średnich wiekach nikomu najmniejszej ujmy nie czyniło; używali tego najświętobliwsi. Gdzież jest klasztor, czy zakon średniowieczny, coby *ad majorem conventus gloriam* nie wymyślał w swoich kopiaryuszach i t. p. dokumentów i nadań—nawet w celach najbardziej materyalnych, a cóż dopiero w idealnych. Fałszowanie rozmaitych „autentyków“, ot choćby przywileju Aleksandra Macedończyka dla Słowian, to chleb codzienny średniowieczny—nie bierzemy go więc za złe i Metodemu, tylko do wiary w takie autentyki nie damy się nakłonić.

Otóż w tem zastrzeżeniu Jana VIII co do mszy łacińskiej, zostawionej do woli Świętopełkowi, tkwiło zarzewie nowych sporów, bo z całego przebiegu spraw, dawniejszego i późniejszego, jasno wynika, że właśnie Świętopełk sobie łacińskiej mszy życzył—inaczej zastrzeżenie to nie miało by celu. Metodemu, pilnującemu jednności liturgicznej na Morawach, strasznie to brózdziło — więc utrudniał może, lub nie dopuszczał do mszy łacińskiej; o to poszły tedy niebawem nowe skargi do Rzymu, a w końcu może i nowy stanowczy zakaz Jana VIII wszelkiej mszy słowiańskiej. Przynajmniej twierdzi wyraźnie Szczepan V w instrukcyi z r. 885, że Metody przysiągł za Jana VIII, jakoby się mszy słowiańskiej więcej nie miał ważyć. Urzędowym głosem rzymskim o czasach tak dawnych więcej wierzyć wypada, niż tendencyjnym legendom; dlatego nie wierzę w uroczystą aprobatę, ani w list Hadryana z r. 868: powinniżby o nich w Rzymie po r. 873 jeszcze coś wiedzieć. Wierzę zaś słowom Szczepana V, chociaż nie przeczę, że słowa te mogłyby również na niedostatecznej, nie całej informacji polegać, oraz, że donosy Wichinga owe nieporozumienia i przekąsy wywoływały. W każdym razie wiemy napewno, że niezdecydowany, do

kompromisów i ustępstw wiecznie skłonny Jan VIII, liturgii słowiańskiej raz zakazywał, to znowu do niej upoważniał; nie dziw więc, że wołał Metody list aprobaty uroczystej powagą Hadryanową pokrywać, która podobnej chwiejności nie знаła, chociaż Hadryanowi o liturgii słowiańskiej ani się marzyło.

W końcu nic nie pomogło; trafnym instynktem wiedziony Świętopełk, po śmierci Metodego, nie długo ze stronnikami tegoż wojował i wygnał Metodyan z kraju. Więc bij zabij na niego, i to od greckiego żywociarza Klemensa bułgarskiego począwszy, aż do prof. Potkańskiego: „myśl Świętopełka dalszych kręgów zatoczyć nie mogła. Nie budował dla przyszłych pokoleń i organizatorem nie był“. Dlaczego? czyż np. państwo Bolesławowe nie rozpadło się po takim samym przeciągu lat, jak i Świętopełkowe? Lecz nie znalazło to państwo sprzymierzeńców, czy pomocy niemieckiej, jak Kazimierzowe, i nie podźwignęło się nanowo. Co ważniejsza, to to, iż widoczną jest rzeczą, że ani liturgia słowiańska, ani księga Metodego miru nie mieli na Morawach, a to nas, choćby wobec dzikiego ich języka i pisma, dziwić nie może. Przecież pod nieobecność Świętopełkową wyrzucono ich ostatecznie z kraju; nie był więc Świętopełk największym ich wrogiem; nikt ich w całym kraju nie przygarnął ani na chwilę; świadczy jasno legenda Klemensowa o tej absolutnej obojętności morawskiej dla wymysłu Metodowego.

Tak się przedstawia apostołka Cyryla i Metodego bez obsłonek legendowych. Oddali Grecy Rzymianom piękności za nadobne; jeżeli podkopywał się Rzym do Bułgarii i do Bałkanów, toć poderwali Grecy grunt rzymski na samym zachodzie, używając liturgii słowiańskiej, jako przynęty, nosząc się z myślą zawojowania, względnie odwojowania całej Słowiańszczyzny dla siebie. Nie darmo jeździł Metody pod koniec życia swego do Carogrodu; uspakajał widocznie cesarza i patriarchę co do tego, że impreza jego wyjdzie w końcu na korzyść grecką (naturalnie legenda znowu przekręca, że inicjatywa do podróży carogrodzkiej wyszła od cesarza). Może pokazywał cesarzowi i patriarsze Metody, jak głogolicę zastąpią później, gdy się Słowianie raz ustalą w obrządku greckim—pismem szczerogreckim (tak zwaną cyrylicą). W każdym razie osiągnął to, czego w Rzymie osiągnąć nie zdołał, a cesarz zatrzymał w Carogrodzie księdza i dyakona z księgami słowiańskimi. W Rzymie, pomimo legendowych baśni o „tryumfie“ tych ksiąg, nikt o tem ani pomyślał. Baśni tych, wstydlivsza tym razem, legenda włoska naturalnie nie powtórzyła.

Prywatna więc inicjatywa pokusiła się o wielkie dzieło i zwyciężyła—*audaces fortuna*,—choć nie całkowicie, bo wrócili Słowianie zachodni pod Rzym. Konstantemu bynajmniej o samo szerzenie chrześcijaństwa nie szło; nie wybierał się przecież do Słowian, których miał pod nosem, do soluńskich np. czy peloponeskich, ani do bułgarskich, ani na Ruś (Kijów był znacznie bliższy Carogrodu, niż Wielogród morawski),—nigdzie do Słowian pogan, do Polan czy innych, lecz do nawróconych oddawna i z chrześcijaństwem nigdy już nie zrywających, Morawian i Panończyków. Tej fatygi mógł sobie oszczędzić; mógł nie wdzierać się do cudzych dyciecz, skoro tyle niezajętego zupełnie obszaru stało przed nim otworem. Lecz nie o misyę, ani o apostołstwo mu chodziło. Oderwanie Słowian od Rzymu planował przyjaciel Focjusza.

Zarzucają mi, że wmawiam w Konstantego jakąś nienawiść ku Rzymowi, niemożliwą w IX wieku wogóle, a niemożliwą specjalnie u Konstantego, przedstawiciela Kościoła nierozdwojonego, powszechnego. Pragnął Konstanty istotnie „katolicyzmu“, tylko rozumiał przez to rzymskie do greckiego Kościoła przystąpienie, porzucenie rzymskich aspiracji i odstępstw od typu wschodniego. Nienawiści Konstantowej ku łacinnikom nie wymyśliłem; wyczytałem ją w jego żywocie. Oto próbka jej wymowna: Pracował Konstanty trzy lata na Morawach i wedle legendy włoskiej „zapuszczał sierp wymowy swojej na wygubienie rozmaitych błędów, jakie w owym narodzie znalazł, i gdy tak wyprzątnął i wykorzenił z niwy tej zaraźliwej rozlicznych błędów chwasty, zasiewał bożego słowa rośliny“. Legenda łacińska wstydlawiej zamilcza o tem, jakie to błędy Konstanty właściwie karczował, ale słowiańska, nie dla Rzymu przeznaczona, nie ukrywa się z nimi. I cóż się pokazuje? Wiemy przecież, że „christianitas“ Moraw była jeszcze w r. 853 „rudis“, że należało zwalczać liczne pozostałości pogańskie, przede wszystkim w kulcie zmarłych, w pieśniach i igrzyskach obrzędowych, w stypach i t. d. I rzeczywiście mówi prof. Potkański (str. 34) „o walce Konstantego z dawnym pogaństwem na Morawach“. Tymczasem żywot słowiański wyraźnie oświadcza, że przez te trzy lata walczył Konstanty na Morawach tylko—„z archijerejami, jerejami i klerem łacińskim“, bo ten kler (cytuję dosłownie) nie tylko o trzy języki Piłatowe walczył, a słowiańskiemu praw przeczył, „lecz i innego bezwstydu uczył, twierdząc, że żyją pod ziemią wielogłowcy“ (nauka szkolna o antypodach) „i że gady, to stworzenie dyabelskie“ (manicheizm, czy paulicyanizm, ale nie rzymskie to!) „i kto zmiję zabije, dziewięciu się grzechów pozbędzie, a kto człowieka zabije, niech trzy mie-

siące z drzewianej czaszy, nie tykając szklanej, pije“ (szyderstwo to z katolickich kar kościelnych, nieznanych w tej mierze, z takim rozdrabianiem i wyliczaniem win, cerkwi greckiej) „i nie zabraniał dawnych ofiar ani bezwstydnym małżeństw“. A więc z księżmi łacińskimi i z praktykami rzymskimi, nie z poganami, ani z pogaństwem wojował Konstanty na Morawach wedle świadectwa własnego brata. Toć to nie mój wymysł chyba.

Obudziły we mnie pierwsze wątpliwości co do wartości przekazu legendowego motywy, podsuwane Rościławowi: on udaje się do Carogrodu z prośbą, aby przysłano nauczyciela, coby Słowianom w ich języku wiarę prawdziwą wyłożył; lecz któryż Grek słowiańskim językiem się bawił? Skądżeż mógł Rościław wnosić, że znajdzie w Carogrodzie to, czego mu i Rzym nie dostarczył? Czyż wiedział, że Słowianie siedzą niedaleko Carogrodu? Jeśli to wiedział, toć wiedział również dobrze, że dla tych własnych Słowian Grecy nigdy niczego nie uczynili, skądżeż by u nich gotowa ofiarność dla Moraw się wzięła? Wiarę moją w autorytety nowsze poderwał jednak zupełnie i na zawsze 16 rozdział „Żywotu Metodowego“; mowa tam o „królu węgierskim“, z którym Metody pragnął się widzieć, mimo niebezpieczeństwa, grożącego własnej jego osobie ze strony tego króla; dalej o spotkaniu z władcą i jako rozmawiali ze sobą, jak takim wielkim mężom przystało i t. d. Wszyscy badacze uwierzyli, że tu mowa o jakimś królu madyarskim (chrześcijaninie w IX wieku!! Na sto lat przed Gejzą i Szczepanem!!), ani się pytając, coby mogło Metodego narzucać całkiem obcemu „królowi“, od którego, skoro był chrześcijaninem, żadne niebezpieczeństwo arcybiskupowi pobożnemu grozić nie mogło. Całkiem inna rzecz, jeśli to był król—niemiecki, a był nim naturalnie, już dla samej terminologii żywociarza, nie kto inny, boć niemożliwą byłoby rzeczą, żeby jakiegoś koniokrada, czy drapichrosta madyarskiego „królem“ nazwał ten, co Świętopełka, władcę własnego, stale tylko księciem tytułował,

Jest w naszych żywotach wzmianka o Węgrach, ale tylko jako o wilkach wyjących!! Prof. Potkański mówi „o zupełnie nieuzasadnionym przypuszczeniu“ moim co do tego króla i powtarza starą bajeczkę o węgrzynie;—ależ to nie „przypuszczenie“ moje, lecz pewnik matematyczny, jak dwa a dwa cztery. Wątpić można tylko, o którym królu niemieckim mowa, czy o Karlmanie, czy o Arnulfie.

Gdym ujrzał, że w takiej bagatelce, gdzie tak łatwo dojść względnej prawdy, wszyscy grubo pomylili się — prof. P e k a ř

w liście do mnie stwierdził, że gdyby wszystkie moje domysły ru-  
nęły, ów o „królu węgierskim“ ostoi się niezachwiany. Zająłem  
się tedy sprawdzaniem wszystkiego i tak doszedłem do własnych  
wyników. Protestuję jednak przeciw temu, jakoby podejmował  
się apologii Wichinga (str. 113); nie wadziło zaznaczyć, że broni  
Wiching katolicyzmu i Rzymu przeciw Grekowi. Jak? z jakich in-  
tencji? czy godziwymi środkami? czy fałszerstwem?—to już inne py-  
tanie. Również protestuję przeciw temu, jakoby ubliżał genial-  
nemu planowi i nadzwyczajnym zdolnościom Konstantego; uzna-  
jąc je w całej pełni, zwracam uwagę prof. Potkańskiego na  
to, że nie wynalezienie alfabetu, albo alfabetów słowiańskich wy-  
magало zdolności i czasu, lecz że największą zasługą było unor-  
mowanie narzecza soluńskiego, wytworzenie z niego odrazu—bez  
najmniejszej próby poprzedzającej — języka piśmiennego. Prof.  
Potkański wspomina tylko i biedzi się ze sprawą wynalezie-  
nia alfabetu, lecz milczy zupełnie o stokroć ważniejszej i trudniej-  
szej rzeczy, o przeprowadzeniu pisowni, ujednostajnieniu form,  
ustaleniu składni i słownictwa. Na alfabet mogłoby starczyć kil-  
ka dni czy tygodni; nadzwyczajne, zadziwiające wydoskonalenie nar-  
zędzia, t. j. samego języka, lat całych wymagało. Przecież był  
Konstanty w trudniejszym o wiele położeniu, niż np. Ulfila; ten był  
rodowitym Gotem, Konstanty—Grekim; mimo to wżył się, wczuł,  
wmyślił tak we wzgardzone narzecze klas najniższych, że i rodo-  
wity Słowianin lepiejby tej rzeczy nie dokonał. I tu znowu ar-  
gument za mojem twierdzeniem: oddawna przed mniemaną misją  
morawską zaprzętała całą uwagę Konstantego myśl o podniesieniu  
słowiańskiego języka do godności języka kościelnego, o użyciu go  
do przekładów Pisma św. i liturgii. Gdyby dopiero misya moraw-  
ska na to go naprowadziła, mógłby być, choćby na poczekaniu,  
sam alfabet (ale chyba morawski, nie soluński!) ułożyć, lecz prze-  
nigdy nie stworzyłby przekładu, choćby tylko samej ewangelii św.  
Jana (odrazuż o „lekcyach“ dla liturgii myślał!) w krótkim przecią-  
gu czasu. Czyż on dopiero na M o r a w a c h wydoskonalął nar-  
zecze s o l u ń s k i e? I legenda wyraźnie zaznacza, że z goto-  
wą „ewangelią“ do Moraw przybył, a na toby i kilku miesięcy nie  
starczyło. Język tego przekładu bowiem taki misterny, tak umiał  
młody stosunkowo Grek uchwycić wszelkie odcienia, np. skompli-  
kowanego trybu czasowników słowiańskich (Katarzyna II, mimo  
całego sprytu językowego, nigdy się tego nie wyuczyła!), że tylko  
czołem uderzyć przed takimi zdolnościami lingwistycznymi—u Gre-  
ka, gardzącego stale każdym obcym językiem. Są wprawdzie



i w tekście przekładu usterki pewne; trzyma się on nieraz nadto niewolniczo litery greckiej, ale wogóle możemy go raczej nazwać cudem doskonałości i skończoności; podobnego dzieła filologicznego—drugiego, trudno się w średnich wiekach doszukać. Na to trzeba nieskończenie więcej pracy wytrwałej, spokojnej, oględnej, niż na „wynalezienie alfabetu“. I zabrał się Konstanty do dzieła, choćby na lat pięć albo i dziesięć przed mniemanem poselstwem morawskim, aby straszne ubytki Kościoła greckiego w Azji wobec Islamu, powetować w jedynej części świata, stojącej mu otworem: na terenie jedyne go niezliczonego narodu, nietkniętego prawie przez chrześcijaństwo,—u Słowian. Ruinie chrześcijaństwa w Małej Azji mógł się sam przypatrzeć, jeśli się kiedykolwiek przyłączył do jakiego poselstwa arabskiego. W rozmowach z „wielkim“ przyjacielem, Focyuszem, mogli wpaść obaj na pomysł, godny geniusza. Nie mój to przecież wymysł, że był on „fortissimus amicus“ Focyusza i napróżno prof. Potkański prawi o późniejszym oziębieniu się ich stosunków, dla owego sporu o dwu duszach, wymyślonych przez Focyusza tylko na złość patryarsze. Nie było to własne, silne przekonanie, lecz pułapka na patriarchę i nie obstawał przy niem Focyusz na seryo, więc i gniewać się o co nie było. Że legenda i żywoty o przyjaźni z Focyuszem milczą—miały one ku temu słuszne przyczyny, szczególnie rzymska!

Wywody moje wyjaśniają wszystko; nie można ani jednego szczegółu przytoczyć, któryby im stanowczo przeczył. Tymczasem wywody dawniejsze, oparte na tradycyi, nie objaśniają wcale zagadek, nasuwających się ciągle, jak i dlaczego zaczął „apostół Słowian“ misję swoją tak daleko, mając swoich Słowian pod ręką? Co znaczy mniemane poselstwo carogrodzkie Rościśława? Dlaczego milczą żywoty Metodego zawzięcie o sporach o język liturgiczny? Jak pogodzić jawne nieposłuszeństwo Metodego (względem jawnego zakazu papieskiego) z jego obedyencyą?—Kto tak poważał zakaz papieski, o nim można łatwo przypuścić, że jakieś drobne ustępstwo Hadryana II rozszerzył, jak mu się podobało. Co znaczą jawne wymysły legend o języku słowiańskim i o aprobachie cesarskiej, oraz cały szereg innych. W jakim celu je wstawiono? Skąd animozya przeciw łacinnikom? Dlaczego, skoro dla Moraw pracowano, obce wybrano narzecze? i t. d. Skoro morawskiego narzecza nie uwzględniał Konstanty, chociaż mógłby się o nim od „posłów Rościśławowych“ jaknajlepiej wywiedzieć, nie mógł Moraw mieć na myśli pierwotnie, więc też nie potrzebował wezwania od nich wyczekiwać. Sam wybór narzecza soluńskiego świadczy wymownie przeciw imprezie morawskiej; przyznaje to poniekąd prof.

Potkański (str. 26), że Konstanty „nie myślał jedynie o Morawach, myśląc o alfabecie”—ależ bynajmniej nie o jedynym alfabecie, lecz o całym języku soluńskim, nie morawskim. Więc myśl i plany Konstantego sięgały z góry dalej; gdyby tylko Morawy miał na oku, nie narzucałby im obcego narzecza, nie odstręczałby ich nim od siebie. Opierając się wyłącznie na narzeczu soluńskim, nie mógł przecież dla dobra tylko Roścysława i Morawian pracować!

Czy słusznie wybrał Konstanty narzecze soluńskie? Bynajmniej. Filolog musi mu być za ten wybór wdzięczny, Słowianin—nigdy! Narzecze soluńskie było bowiem zbyt zakonserwowane; nie licowało już z resztą języków słowiańskich w IX wieku, odgradzało się od nich wyjątkową starożytnością, odskakiwało nadto od panującego ogólniej trybu słowiańskiego. Więc te półsamogłoski—utrapienie jeszcze dzisiejszej ortografii ruskiej i bułgarskiej, obce już w IX wieku innym Słowianom; te „nosówki“, z którymi ci niebawem nie wiedzieli co począć, owo dziwne *ia* gładolickie zamiast *ie* i t. d.,—wszystko to bardzo ciekawe i ważne dla filologa; dla Słowian i wszechsłowiańskiego języka zaś całkiem zbędne, przeto szkodliwe. Konstanty byłby lepiej postąpił, gdyby obrał bardziej środkowe narzecze, bułgarskie czy jakiegokolwiek inne; on został przy soluńskim, jako przy „greckim“ i z góry je z całą świadomością na przyszły język wszechsłowiański wybrał.

Skąd wpadł on na cały pomysł? Gdybym był powieściopisarzem, nie opuściłbym sceny drastycznej Focyusza z Konstantym, kiedy to Konstanty, bardziej świadomy rzeczy, myśl o Słowianach tylko rzucił a Focyusz wzmiankę tę podjął, rozszerzył i przed zdziwionym Konstantym dalekie plany roztoczył...; w końcu Konstanty zabrał się do wykonania planu. Lecz i tak wiem napewno, że nie tylko o pogodzie obaj rozmawiali; była mowa i o Rzymie i o cofaniu się Carogrodu. Myśląc o zagarnięciu całej Słowiańszczyzny, nie można było pomijać zachodniej, gdzie już Rzym korzenie zapuszczał; należało więc oderwać Roścysława od Rzymu, jeżeli planom greckim nie miało grozić stałe niebezpieczeństwo rozbicia. Że Rzym nigdy liturgii łacińskiej nie poświęci, a nieprzewidziane ustępstwo Jana VIII było i częściowe i przemijające—o tem wiedział Konstanty i na tem plan osnuł, wybierając się na zachód z przynętą napoły narodowej liturgii. Morawy okazały się „białym królikiem“, któremu szczepiono liturgię słowiańską; organizm ten w końcu jej nie przyjął, lecz tymczasem okrzepła tak dalece owa liturgia, że mogła teraz i na innym, podatniejszym gruncie (bułgarskim, językowo najściślej z Soluniem złączonym), bujniej się rozwinąć. Plan Konstantego urzeczywistnił się

W taki to sposób rozwiązujemy wszelkie trudności, rozumiemy wszelkie uboczne wzmianki legend. Nie był np. Konstanty tak naiwnym, iżby cesarza greckiego pytał o to, czy mają Słowianie swoje pismo; sam lepiej to wiedział. Ale na zarzuty morawskie co do dziwacznej głagolicy miał argument gotowy: nie mieliście wy ani wasi ojcowie żadnego pisma, więc bierzcie, co się wam daje i milczcie, a argument ten włożył w usta cesarskie, t. j. bez apelacji. Sarkaliz Morawianie na narzecze soluńskie, pytali, skąd racya, aby im je narzucać; i tu odpowiedź, obronę i argument zamieścił żywot: soluńskie narzecze to najlepsze, najczystsze słowiańskie, więc milczcie, bo się na tem nie rozumiecie,—sam cesarz nam to poświadcza. Co za typowy rys dla Greka, powoływać się na autorytet cesarski i w takich nawet rzeczach, o jakich się cesarzowi ani śniło!

Ale Morawianie byli barbarzyńcami i boski autorytet „bazylewsa” nic a nic im nie imponował, więc nikt też na Morawach się nie obruszył, gdy Methodyan z ich liturgią soluńską, nie morawską, wyrzucano. I w późniejszych przeprowadkach o całym tym epizodzie głębokie chowano milczenie—nikt o nim ani słówkiem nie wspominał... Czyż ten ciekawy szczegół ja wymyśliłem?

Wysnuć go można ze znanego listu—protestu episkopatu bawarskiego z roku 900 do Jana IX. Prof. Potkański nie wspomina o tym liście, a szkoda, bo można się z niego niejednej rzeczy nauczyć, np. czy misya carogrodzka Rościława była możliwa? czy miała sens choćby najmniejszy? Wiadomo, o co chodziło.

Gdy zapanował chwilowy pokój na Morawach, udali się Morawianie, t. j. Mojmir II do Rzymu po nową organizację Kościoła narodowego (naturalnie z językiem łacińskim); kosztowało to wiele pieniędzy, ale się udało. Jan IX wysłał trzech biskupów, którzy wyświęcili na Morawach arcybiskupa i trzech biskupów; przeciw temu krokowi papieskiemu zaniósł episkopat bawarski energiczny protest do papieża w r. 900. W proteście tym jest mowa o wszystkim; są ciekawe szczegóły o przysięgach i przymierzach niemiecko-madyarskich nad „psami” (znany to szczegół i skądinąd); o skarbieńiu łask słowiańskich płaceniem w płótnie, nie w srebrze, o goleniu głów trybem pogańskim i t. d. Są wymysły i przekręcenia, lecz są i uwagi trafne, np. że Wiching nie był biskupem w diecezyi morawsko-pasowskiej, lecz w dalszym, podbitym przez Świętopelka kraju (t. j. w Nitrze słowackiej). Najciekawsze jednak,—to absolutne milczenie o arcybiskupie Methodym i o liturgii słowiańskiej. Pierwsze możnaby zrozumieć. Nie wspomniano o arcybiskupstwie morawskiem, aby się nowa organizacya

na nie powoływała — ale dlaczego zamilczano o liturgii słowiańskiej, t.j. kacerskiej?.. Byłby to argument nadzwyczaj doniosły dla episkopatu bawarskiego, jako dla strażnika ortodoksji rzymskiej, dla potępienia Morawian już nie tylko jako na poły chrześcijan, lecz jako kacerzy jawnych. Jeżeli więc episkopat bawarski tego argumentu, tak dla siebie dogodnego, nie użył, toć może na Morawach samych ów epizod z liturgią słowiańską głucha już pokrywała niepamięć, albo przynajmniej sami Morawianie strzegli się go wspominać czy zalecać. Protest z r. 900 poucza nas i o czemś ważniejszym.

Gdy Hadryan II wyświęcił Metodego na arcybiskupa panońskiego, Niemcy, nie troszcząc się bynajmniej o autorytet rzymski, Metodego *brevi manu* uwięzili. Wprawdzie po trzech latach oswobodzili go na instancję Jana VIII, lecz, (mimo gróźb i klątw papieskich!) do Panonii go więcej nie puścili, a Kocelowi powiedzieli: Ciebie wypędzimy, jeśli się odważył przyjąć Metodego. Pokorny ich służka musiał się do rozkazu zastosować; Metodego nigdy do Panonii nie powrócił i choć go papież jeszcze przez lat kilka arcybiskupem panońskim tytułował, tytuł ten nic nie ważył. Metodego udał się do Świętopelka i pozostał tylko arcybiskupem morawskim. W to się Niemcy nie w miesza li na razie; niby uznali to milcząc. W licznych listach Jana VIII i Szczepana V ani śladu niema, iżby Niemcy prawomocności arcybiskupstwa morawskiego zaprzeczali. Dlaczego? Czy może z respektu przed ordynacją papieską? Jak ją respektowali, pokazali świeżo w Panonii. Byliby tak samo i ordynację morawską za niebyłą uważali, gdyby nie — oręż Świętopelka. Ponieważ ich oręż w Panonii panował, więc, mimo ordynacji i klątw papieskich, Metodego w Panonii ani na chwilę nie ścierpieli. Ponieważ ich oręż Moraw Świętopelkowych nie sięgał, musieli Metodego na Morawach pozostawić w spokoju; owszem, król niemiecki sam, nasłuchawszy się tyle o nieugiętym przeciwniku Niemców, o jego sile moralnej, imponującej, przyjął go później, ak królowi przystało. Wtedy to może stanęła po r. 870 noga Metodego na ziemi panońskiej jeszcze raz jeden. Pyta prof. Potkański „skąd, po co i na co miał się Metodego zjeżdżać z Arnulfem?“ Nie jestem wszystkowiedzącym, ale przyczyn mogę się domyślać różnych: np. chciał złożyć hołd potężnemu przyjacielowi (albo i zwierzchnikowi) własnego księcia, a poruszyć może przytem i u króla sprawę panońską, w czem jednak posłuchu nie znalazł.

Skoro miecz Świętopelków się przytępił, gdy zastąpili dzielnego ojca mniej dzielni, a szarpiący się nawzajem synowie, poczuł

się natychmiast episkopat bawarski na siłach i zaprotestował przeciw tej samej organizacji, którą dotąd przez ćwierć wieku milczkiem znosił. Widzimy więc jasno, co decyduje o niezawisłości kościelnej. Nie Rzym czy Carogród, uznający Panonię i Morawy za prowincye kościelne, lecz tylko siła oręża zmusza Niemców do uznania faktu. Mógł się więc Rościsław i do Carogrodu i, z równym skutkiem, choćby na księżyc udawać—nicby mu to nie pomogło; byłiby Niemcy tylko jeden pozór więcej mieli, aby się z nim ostatecznie rozprawić. I wiedział o tem Rościsław sam najlepiej i dlatego nie mógł się, bez najmniejszego celu i pożytku, do dalekiego i obcego Carogrodu udawać, a jeżeli przecież podobnego nonsensu się dopuścił, potrzeba, (byśmy w to uwierzyli), innego i wiarogodniejszego świadectwa, niż plotki żywociarzy. Plotki te sądzą się same; przecież wedle żywotu Metodego, Rościsław każe posłom swoim twierdzić przed cesarzem: „wesłi między nas liczni nauczyciele chrześcijańscy z Włoch, z Grecyi, z Niemiec i uczą nas różnorako“. Grek między Morawianami, przed Konstantym i Methodym,—toć to niesłychany cud przyrody. A w jakim celu żywociarz to wtrącił? Oto, aby wykazać, że nie (co było prawdą) Niemcy sami szerzyli chrześcijaństwo na Morawach, lecz że Morawy to *res nullius*, gdzie każdy na swoją rękę szczęścia mógł próbować. Od takich to „prawd“ roją się nasze żywoty; oto zaraz w rozdziale X czytamy, że Morawianie wygnali z kraju wszystkich księzy niemieckich za zdradę. Roczniki frankońskie, donoszące nawet o błahych rzeczach morawskich, nie przemilczałyby takiej sensacji. Wycofała się część księzy przed obrządkiem słowiańskim, jak w Kalniku Kocelowym Richbald uczynił, a żywociarzowi szło znowu o to, aby zatrzeć ślady niemieckie, t. j. katolickie, ale skądinąd wiemy, że księzy katolickich nigdy na Morawach nie brakło: np. kapelan Jan przy Świętopelku lub Wiching, są świadkami tego pewnymi, a dawniej dowodzi tego choćby terminologia kościelna morawska, obfitująca w jawne germanizmy, nie starte całkiem—nawet w języku Cyryła.

Cóż dopiero, gdybyśmy się przyjrżeli jawnym falsyfikatom żywotu, np. mniemanemu przywilejowi papieskiemu (Hadryana II) dla liturgii słowiańskiej. Że to falsyfikat, nie ja pierwszy twierdzę; dziś niemal jednomyślnie potępiają autentyczność tego pisma, chociaż jeszcze nie tak dawno usilnie jej broniono. Badacze wytrawni, nie złudzeni powagą i prawdomównością naszych żywociarzy, np. najznakomitszy dzisiaj historyk Kościoła średniowiecznego, Haugk, ostro zaprzeczyli samej możliwości, by takie pismo z kancelaryi rzymskich kiedykolwiek wyszło. A przecież zajmuje

ono celne miejsce w żywocie Metodowym i uroczyscie wykłina papież, następcą Mikołaja, tych, coby się śmieli ująć za liturgią—łacińską!! Wyklina prawych łacinników, nietylko od „wsądu“, komunii, lecz i z Kościoła, a zamilcza mądrze, że dozwala się żądającym tego, mszy całej łacińskiej na ziemi obrządku słowiańskiego. Opowiada z równem prawdopodobieństwem, że papież przeciwko udawaniu się owieczek rzymskich (morawskiego, łacińskiego Kościoła) do Carogrodu w rzeczach wiary nic nie miał do zastrzeżenia!

Jak się przedstawia postępowanie kurii rzymskiej, gdybyśmy zawierzili legendom, i o tym wspomnieć warto. Oto, wedle nich, pozwala Hadryan II r. 869 czy 870 na wszystko jaknajuroczyściej; tegoż samego zakazuje Jan VIII w trzy lub cztery lata później również jaknajuroczyściej; na toż samo ponownie pozwala stanowczo ten sam Jan VIII w siedem lat później; a tegoż znowu zakazuje najbardziej stanowczo Szczepan V w pięć lat potem—czyli innymi słowy: w kwestyi pierwszorzędnej wagi zmienia stolica apostolska w ciągu lat kilkunastu cztery razy urzędowe stanowisko swoje! Jeżeli nikt w Rzymie, toć chyba Metody sam musiał pamiętać, że już Hadryan II pozwolił uroczyscie na liturgię słowiańską, dlaczegóż nie wspominał on nigdy o tem ani przed legatem papieskim, zakazującym tej liturgii, ani przed papieżem, srodze zaambarasowanym, jakich to motywów się doszukiwać, aby umożliwić liturgię słowiańską. Podsuwał mu je Metody najrozmaitsze, naprz. istnienie liturgii narodowych po innych krajach; powtarza je papież z wahaniem niejakiem—(„jak nas zapewniają o tem“); przemilczał tylko Metody w Rzymie o falsyfikacie Hadryanowym, na który się w domu bez skrupułu powoływał. Mamy zbyt wielki respekt przed Stolicą rzymską, abyśmy ją posądzali o taką chorośliwą chwiejność w rzeczy najistotniejszej wagi; poświęcamy bez namysłu jawny falsyfikat, aby ocalić jej powagę. Prof. Potkański o tem zbyt mało myślał.

Warto jednak na chwilkę opuścić jego książkę i przypatrzeć się konstrukcyom innych badaczy. Całe zagadnienie jest przecież olbrzymiej dla dziejów słowiańskich wagi; niema w dawnych słowiańszczyzny losach nic, coby mu równać się mogło. Z niego wypłynęło owo rozdwojenie pierwotne, którego skutków i dziś nic usunąć nie potrafi. Nie myślimy jednak zbyt daleko się zapuszczać; bardziej szczegółowym wykładem moglibyśmy całe roczniki zaprzątnąć: kilka próbek najnowszych niech starczy. I tak: prof. G o ł u b i n s k i j objaśnia cały epizod morawski względami czysto politycznej natury. Łączyli się Niemcy z Bułgarami, więc musieli się

Morawianie ku Carogrodowi zwrócić; ponieważ zaś prosty związek polityczny nie był możliwym, nadano mu cechę religijną — uznali Morawianie autorytet carogrodzki, uprosili o biskupa i o kler i wysłali im Grecy misyę z Konstantym na czele, co samowolnie na liturgię słowiańską się zdobył i na Morawach ją przeprowadził. Wywód ten fantastyczny traktuje Rościława, wasala niemieckiego, sądzonego niebawem, jak byle jaki comes frankoński, na wiecu państwowym frankońskim, na równi z monarchami zachodu i wschodu—rzecz niemożliwa; o politycznym podkładzie misyi carogrodzkiej, o sojuszu jakimś i podporze greckiej nie marzył Rościław. Domysł niefortunny miał Gołubińskiemu służyć ku wyrozumieniu tego, co mu się samemu nieprawdopodobnem wydawało.

Wspomnieliśmy już o artykułach prof. Łamańskiego p. t. „Żywot św. Cyryla jako dzieło religijno-epiczne i jako źródło historyczne“. Wyjaśniają one, t. j. obalają wiele szczegółów „Żywotu“, szczególnie z misyi arabskiej i chazarskiej, wychodzą jednak z osobliwszego założenia. Różne odpisy Żywotu Cyrylowego nie zawierają, wedle zdania Łamańskiego, pierwotnego tekstu „Żywotu“, jakim był on w IX czy w X wieku; obfitują zato w obszernie wstawki (z polemiki z Saracenami i z Żydami, z jakiegoś nieznanego greckiego źródła) i w czysto epiczne rozszerzenia treści. Ależ ani owe greckie źródło, ani ów krótki „Żywot“ pierwotny śladu nawet nie zostawiły po sobie. Żywot cały, bardzo jednolity w stylu i treści, niczem wstawek nie zdradza; główny zrąb jego dawno musiał istnieć niezmienny, t. j. taki, jaki posiadamy w owych późnych odpisach, bo dawne wyciągi (po t. zw. Prologach, krótszych żywotach świętych, lekcyach i t. d.) potwierdzają go. Prof. Ławrow wreszcie przypuszcza (w *Archiv für slavische Philologie*, XXVII, str. 378), że poselstwo Rościławowe wywołała wiadomość, co do Moraw dotarła, jakoby Cyryl wynalazł alfabet i rozpoczął przekład—prawdopodobnie więc interesował się już Rościław filologią słowiańską! Tak siłą się wszyscy na wytłumaczenie niewytłumaczonego przekazu legendowego. Zamiast nowego tłumaczenia, wołałem podać w wątpliwość, zaprzeczyć właśnie mniemanemu „faktowi“ misyi Rościławowej a upowężniając mnie do tego same legendy, ich tendencyjność, ich wymijanie prawdy.

Nie wystarcza więc samo powtarzanie tradycyi. Upór — nie racya; podobnie np. nazywają się stale oba żywoty słowiańskie „panońskimi“, chociaż przysługuje im tylko nazwa „morawskich“, skoro Cyryl i Metody tylko kilka lub kilkanaście miesięcy w Pannonii, a zato kilka lub kilkanaście lat na Morawach działali. Lecz ponieważ termin ten raz tendencyjnie wprowadzono, więc powta-

rzają go nadał zawzięcie, chociaż dowolność jego leży na dłoni. Albo pomawiają mnie o uprzedzenie, jakbym ja przenosił późniejszy rozłam i wrogi stosunek Rzymu i Carogrodu niesłusznie na wiek IX. Czyż to ja wymyśliłem Focysza? Focysz zaś bynajmniej nie stworzył tego rozłamu; był tylko jego wynikiem. Zato przenoszą bez skrupułu unarodowienie Kościoła, o czym się dawnym czasem (IX wiekowi!) ani śniło, z XIX-go na IX-ty—i to nie ma być uprzedzeniem!

Więc hipoteza moja, że Cyryl i Metody we własnych greckich widokach stawili się, nie p r o s z e n i p r z e z n i k o g o, na Morawach; że z Rzymem paktowali tylko z konieczności; że Metody porwał nakoniec wszelkie stosunki z Rzymem i umierający na Morawach Grek błogosławił cesarza carogrodzkiego, któremu nie zawdzięczał, a zachował grobowe milczenie wobec papieża, któremu wszystko zawdzięczał: życie, wolność, arcybiskupstwo i liturgię słowiańską!—czyż i to mój wymysł? Grek ten nigdy owych stosunków nie brał na seryo, chociaż się sługą Piotrowym mianował. Że plany obu braci nie Moraw, lecz Słowiańszczyzny całej sięgały i dlatego morawskiemu narzeczu nie folgowały, a jednego, soluńskiego, dla wszystkich Słowian się trzymały; że wynalazł Cyryl Słowianom alfabet, gładolicę, aby ich od Zachodu tem silniej odłączyć—tych i innych pomysłów moich najnowsza krytyka prof. Potkańskiego nie osłabiła w niczem. Z tej krytyki wyszły one nienaruszone. Czekam na inne, bardziej uzasadnione zarzuty.

Zato w jednym punkcie stoimy na wspólnym gruncie,—co do dobrodziejstw, jakie na Słowiańszczyznę z misyi obu braci spływały: nie zazdrościmy ich nikomu.

A. BRÜCKNER.

---